



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO - KWIECIEŃ 2020

**Zbliżają się Święta Wielkanocne i jest mi niezmiernie miło z tej okazji
złożyć Wam najserdeczniejsze życzenia szczęścia rodzinnego,
pogody ducha, optymizmu, a nade wszystko zdrowia i cierpliwości w rozłące z górami.
Aby Zmartwychwstały Pan łaskawie obdarzył nas swoimi łaskami,
a górskie szlaki zostały otwarte jak najszybciej.**

**JOLANTA AUGUSTYŃSKA
PREZES POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO**



Drogie Koleżanki i drodzy Koledzy,

Sytuacja epidemiologiczna z jaką się mierzymy, dotyka też naszą organizację i bez wątpienia sprawia wiele niedogodności, nam, członkom i sympatykom naszego Towarzystwa – uczestnikom wycieczek, wypraw, spotkań. Musimy uzbroić się w cierpliwość i mieć nadzieję, że dzięki zachowaniu kwarantanny i stosowaniu się do zaleceń walkę z epidemią wkrótce uda się wygrać, a przynajmniej doprowadzić do poziomu, że nasze aktywności będzie można wznowić.

Aktualnie możemy skoncentrować się na działalności sprawozdawczej, na przyszłych planach, nowych koncepcjach i rozwiązaniach. Jestem otwarta na wszystkie pomysły z Waszej strony.

Póki co nie ma możliwości organizowania Walnych Zebrań Członków Oddziałów w celu zatwierdzenia sprawozdań za rok 2019, które jako organizacje z osobowością prawną mamy obowiązek przeprowadzić, ale na pewno wkrótce to nam się uda. Czekamy na decyzje administracyjne. Walny Zjazd, zaplanowany na 30 maja również może nie dojść do skutku, musimy czekać na decyzje. Z podobnym problemem zmierzyć się musi bardzo dużo organizacji, więc zapewne będą nas obowiązywały jakieś wytyczne w tym temacie.

Wybiegając do przodu, powstał pomysł, aby organizować okresowe spotkania Pre-

zesów (Zarządów) wszystkich naszych Oddziałów (Kół) i członków Zarządu Głównego. Może uda nam się zdynamizować działania naszej organizacji, poprawić jej rozpoznawalność i dzięki temu zyskać szersze grono sympatyków. Pomysł ten jest mi bardzo bliski, bo jeśli cokolwiek chciałem w tej kadencji dokonać to tego, żebyśmy poczuli się, my wszyscy członkowie poszczególnych oddziałów i kół, jako jedność, skupiona pod jednym sztandarem PTT. Uważam, i nie tylko ja tak uważam, że spotkania są najlepszą formą poznania się, wymiany doświadczeń, nawiązania koleżeńskich relacji. Każdy Oddział ma swoją specyfikę, różnimy się, ale dzięki tej różnorodności jesteśmy bardzo bogaci w doświadczenia, i tymi doświadczeniami możemy się dzielić. Mając wypracowane i sprawdzone rozwiązania możemy znacznie łatwiej organizacyjnie przejść przez niekiedy trudne zagadnienia. Nasza organizacja ma szansę na dalszy rozwój i liczę, że wspólnie ustalimy odpowiedni kierunek. Bardzo mi zależy na Waszych pomysłach.

Moja propozycja na pierwsze w tej kadencji spotkanie to trzeci weekend września 2021 roku (24-26 września 2021 r.), miejsce to oczywiście nasze Tatry.

Ideą spotkania wrześniowego ma być spotkanie władz z poszczególnych Oddziałów, szczególnie teraz biorąc pod uwagę istotne zmiany w naszym życiu to spot-

kanie powinno dojść do skutku. Mam nadzieję, że pomysł spotka się z Waszą przychylnością i już teraz (choć nie wiadomo co nas czeka) zaplanujecie sobie w grafiku czas wolny, aby móc w spotkaniu uczestniczyć.

Co roku mamy dwa spotkania ogólnopolskie, pierwsze to organizowane przez Oddział PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim Zimowe Spotkania Oddziałów w Górach Świętokrzyskich, drugie jesienne organizowane przez wytypowany Oddział. Jak wiecie (zwłaszcza te osoby, które w spotkaniach uczestniczą), są to bardzo miłe i długo wspomniane imprezy, gdzie ludzie z różnych zakątków Polski mają realną szansę na poznanie się.

I jeszcze jedna sprawa. Bardzo chętnie, osobiście poznam członków naszego Towarzystwa, jeśli będę mogła spotkać się z Wami na oddziałowych imprezach. Do tej pory udało mi się odwiedzić podczas takich spotkań Oddziały: Tarnobrzeg, Radom, Opole, Sosnowiec. W tym celu informuję mnie o planowanych spotkaniach Oddziałów, zwłaszcza jeśli są niedaleko (mieszkam w Nowym Sączu), lub tych innych np. rocznicowych – jeśli tylko będę mieć taką możliwość, będę chciała przybyć.

z tatrzańskim pozdrowieniem,

JOLANTA AUGUSTYŃSKA
Prezes

Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

Z życia Oddziałów

REMIGIUSZ LICHOTA (O/Chrzanów)

Nowe Szkolne Koło PTT w Lgocie

10 marca 2020 roku odbyło się zebranie założycielskie w Szkole Podstawowej w Lgocie. W spotkaniu oprócz zaproszonego zarządu chrzanowskiego Oddziału PTT, który reprezentowali: Prezes Remigiusz Lichota i Sekretarz Bogumił Ryś wzięła udział Dyrektor Szkoły Podstawowej Pani Małgorzata Kasprzyk, a także nauczyciel Pani Barbara Ludwikowska oraz uczniowie.

O godzinie 10:00 wszyscy zainteresowani zgromadzili się w sali. Po oficjalnym powitaniu, Pan Remigiusz Lichota przybliżył historię PTT oraz opowiedział o działalności chrzanowskiego Oddziału. Następnie Pani Dyrektor z Prezesem Oddziału wręczyli legitymacje członkowskie PTT uczniom i nauczycielom.

W dalszej części spotkania nauczyciele oraz uczniowie wybrali Zarząd Szkolnego Koła PTT. Prezesem została Pani Barbara Ludwikowska, sekretarzem została uczennica Aleksandra Wiatr, a skarbnikiem uczennica Martyna Głowacz. Na ręce Pani Prezes została przekazana kronika, baner oraz Pamiętnik PTT. Na zakończenie spotkania Pan Remigiusz Lichota odpowia-

dał na pytania uczniów, a następnie wykonano kilka pamiątkowych zdjęć.

Dziękujemy Dyrekcji Szkoły Podstawowej w Lgocie za przychylność i życz-

liwość okazaną PTT, nauczycielom za zapal, a uczniom za zaangażowanie i zainteresowanie turystyką.



Fot. archiwum PTT Chrzanów

Uczestnicy zebrania założycielskiego

MARCIN SZLACHCIC (O/Bielsko-Biała)

Ostatnia wycieczka...

Zapewne nikt z nas się nie spodziewał, że jest to ostanía wycieczka... Ostatnia wycieczka w rzeczywistości przed pandemią paskudnego wirusa, który na nie wiadomo jak długo „zawiesił” działalność stowarzyszenia.

Celem był górski wierzchołek na południowy-zachód od Trzyńca. Jaworowy Wierch (1032 m n.p.m.) jest jednym ze szczytów rozległego grzbietu górskiego w Beskidach Morawsko-Śląskich w Czechach. Planowanie ostatnimi czasy to domena Tadeusza, również w ten sobotni dzień.

Start nastąpił o 7:55 autobusem do Cieszyna. Po pamiątkowym zdjęciu grupowym na polskim, jak i czeskim rynku podzielonego miasta, pojechaliśmy pociągiem do Trzyńca, a następnie autobusem podmiejskim na początek szlaku w Tyrze pod Ostrym. Pogoda nie była słoneczna, niebo zachmurzone i coraz większa moc śniegu na trasie. Po ładnych paru kilometrach cała 14-osobowa ekipa zameldowała się na szczycie. Z rzadko porośniętego szczytu przy pięknej pogodzie rozciąga się panorama na polskie Beskidy oraz

w kierunku słowackich Tatr. Niestety, tym razem prawie wszystko zasłoniły ciężkie chmury. W wesołej atmosferze pobraliśmy się z czeskimi turystami, którzy wraz z nami uwiecznieni zostali na pamiątkowym zdjęciu z banerem.

Poniżej głównego szczytu na Małym Jaworowym (946 m n.p.m.) znajduje się schronisko (Chata Javorový). Był to kolejny przystanek w misternie ułożonym planie piętnastokilometrowej wycieczki. Dotarliśmy w grupie i tu miła niespodzianka – kolega Kaziu szczerze funduje wszystkim złoty napój z okazji swoich imienin. Składamy życzenia i radujemy się wraz z nim!

Pogoda na zewnątrz znacznie się pogarsza, ale niestety musimy ruszać do stacji kolei czeskich w kierunku miasteczka Vendryne. Długi końcowy marsz w deszczu i ślocie rozdziela towarzystwo na mniejsze grupki. Wreszcie razem siadamy w restauracji – regenerujemy się, spożywamy coś z karty i co komu pozostało w plecaku.

Zgodnie z rozkładem odjeżdżamy ze stacji w kierunku Cieszyna, tam przesiadamy się do autobusu i po 18.30 jesteśmy w Bielsku. Kto wie kiedy będzie następna okazja spotkać się w grupie – oby jak najszybciej!



Fot. Leszek Magas - PTT Bielsko-Biała

Góry Ryfejskie – zapomniana nazwa Sudetów

Góry Ryfejskie (Rhippei Montes) to dawna nazwa Sudetów – pasma górskiego oddzielającego historyczne ziemie Polski i Czech. Polacy jeszcze w XVII wieku używali czasami tej nazwy jako zamiennika nazwy Góry Czeskie (*Bohemiae Montes*). Pierwsze wzmianki w historii, w których użyto takiej nazwy, pochodzą ze starożytnej Grecji. Przypuszcza się, że nazwa pochodzi od łacińskiego słowa „rhipaeus” oznaczającego „burzliwy” (przez góry te często przetaczały się burze).

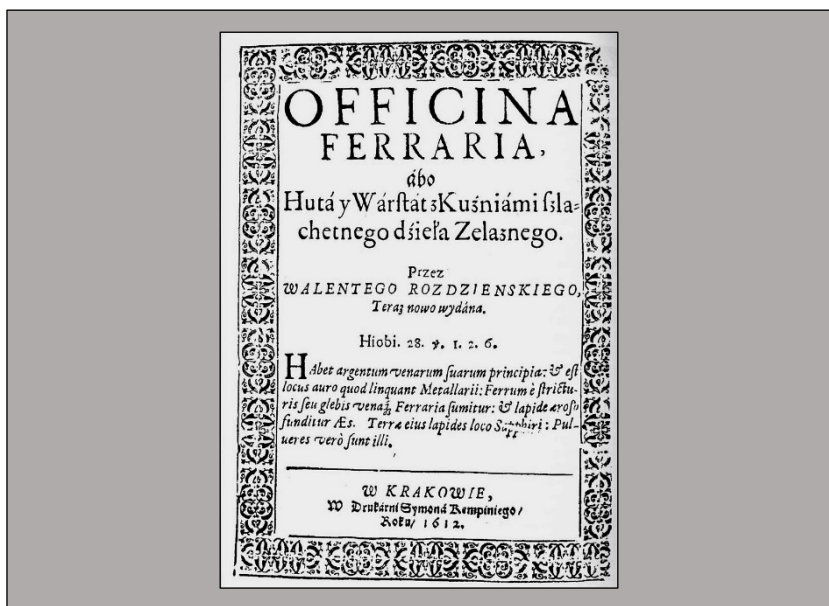
Walenty Rożdzieński, ówczesny zarządca kopalni i hut na Śląsku, napisał i wydał w 1612 roku wierszowany barokowy poemat w języku polskim pt. „*Officina ferraria abo huta i warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego*”. Dzieło Rożdzieńskiego zostało po jego śmierci całkowicie zapomniane, dopiero w 1929 r., po ponad 300 latach, ksiądz Leon Formanowicz przypadkowo odnalazł w Gnieźnie jedyny jego zachowany egzemplarz i nagłośnił to odkrycie. Był to pierwszy tego typu utwór po polsku. Znajdują się w nim pochwały na temat bogactw ziemi śląskiej, m.in. miedzi z Gór Ryfejskich (fragment poematu w oryginalnej pisowni):

*„Miedziani zaś kuźnicy między ryfejskimi
Budowali też swoje kuźnice górami,
Które tak od Ryfeów Sarmatów nazwali,
Iż się tym miejscem do Czech za Czechem
przybrali.*

*Te kuźnice pobliżu miasteczka starego
Kuperbergu — u brzegu były Bobrowego,
Których na onym miejscu barzo w krótkiej chwili
Przez siedmdziesiąt porządnie byli postawili.”¹*

Wszystkie pasma górskie leżące na północy Czech przez całe stulecia określano wspólną nazwą i nazywano najczęściej Górami Czeskimi. Niemiecka nazwa *Riesengebirge* prawdopodobnie pojawiła się w wyniku błędnego odczytania zniemczonej nazwy *Rhippei Montes*, czyli Gór Ryfejskich – *Riefengebirge* jako *Riesengebirge* (zamiana podobnych liter „F” na „S”). Używana w języku polskim nazwa „Olbrzymie Góry”, powstała na skutek przetłumaczenia niemieckiej nazwy *Riesengebirge*, a dotyczyła zwykle samych Karkonoszy, ale była również rozciągana na całe pasmo gór pogranicza Śląska i Czech. Dopiero w poł. XVII w. za sprawą niemieckiego uczonego i filozofa Filipa Melanchtona (1497-1560) i jego uczniów na trwałe do literatury niemieckiej weszła nazwa Sudety, a później polskiej, wypierając z wolna używaną także (i to od XIII w.) nazwę Gór Czeskich (*Montes Bohemiae*).

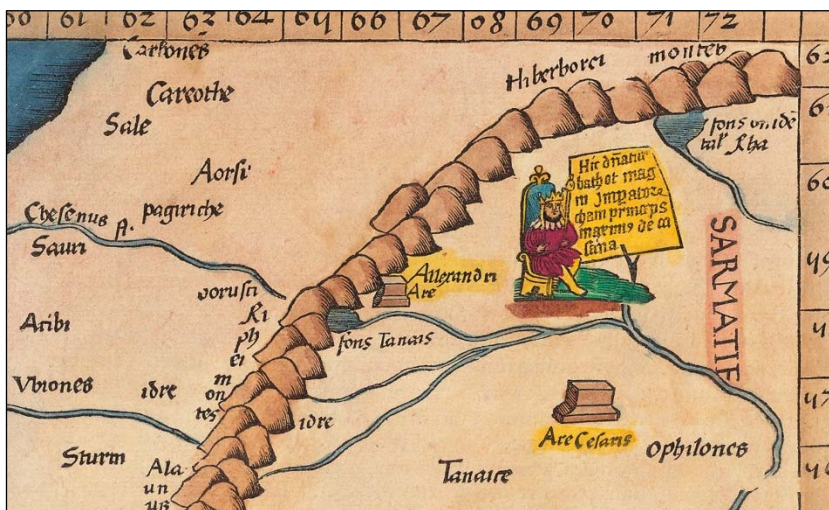
¹ Objaśnienie nazw geograficznych występujących we fragmencie poematu Rożdzieńskiego: między ryfejskimi – w Sudetach, od Ryfeów Sarmatów – od gór nazwanych tak przez Sarmatów, Kuperbergu – Miedzianki, u brzegu były Bobrowego – u brzegu Bobru.



Reprodukcja strony tytułowej „*Officina ferraria...*”



Fragment mapy Europy z 1512 roku ze skrótem RM (Rhippei Montes), zaznaczonym w miejscu, gdzie leżą Sudety.



Fragment antycznej mapy Europy sporządzonej na podstawie relacji podróżniczych, na której jak chodzi o topografię to prawie nic się nie zgadza poza ówczesnymi nazwami geograficznymi. Po lewej stronie namalowany jest łańcuch kopczyków, przy którym można odczytać napis Riphei Montes (Góry Ryfejskie), po prawej napis SARMATIE (Sarmacja).

Atakama 2020

Początkiem roku 2020 zaplanowaliśmy z Danielem, moim od lat partnerem wspinaczkowym, wyprawę w jedno z najbardziej malowniczych miejsc na świecie, mianowicie Punta de Atakamę, płaskowyż i pustynię jednocześnie w północnej części Chile. Zamierzaliśmy wejść na kilka znajdujących się tam szczytów, w tym na Ojos del Salado (6893 m), najwyższy wulkan globu. Chile to duży kraj o powierzchni 760 tys. km², oddalony od Polski, zależnie od trasy lotu, mniej więcej o 15 tys. km. Zamieszkuje go 18,5 mln mieszkańców. Stolicą jest Santiago, a językiem urzędowym hiszpański. Jest to też jeden z najlepiej rozwiniętych krajów Ameryki Południowej.

18 stycznia przed południem wystartowaliśmy z Okęcia, by po trzy i pół godzinnym locie wylądować w Madrycie. Teraz czekała nas podróż po tym ogromnym lotnisku. Z terminalu T2 musieliśmy dostać się na T4, a wymagało to odszukania odpowiedniego autobusu i przejechania nim kilkunastu kilometrów, następnie pociągami kilku przystanków i już (!) byliśmy na miejscu. Terminal był ogromny, ale niewiele w ciągu doby odlatywało z niego samolotów. Opustoszały sprawiał przygnębiające wrażenie. Przejście z jednego końca na drugi zajmowało prawie pół godziny. Odnaleźliśmy „bramkę”, z której odlatywał nasz samolot, wyciągnęliśmy się na ławkach i zapadliśmy w drzemkę.

Tuż przed północą wystartowaliśmy do Santiago w 13,5-godzinny lot. Boeing 787-9 to wygodny samolot do takich długich podróży. Podczas lotu obsługa serwowała smaczne przekąski i posiłki. Nad ranem, gdy byliśmy już nad kontynentem

amerykańskim nadano komunikat o zachorowaniu jednego z pasażerów i konieczności lądowania na najbliższym lotnisku. Na pokładzie znalazł się jednak lekarz i udzielił potrzebującemu niezbędnej pomocy medycznej. Samolot wrócił na wyznaczony kurs i w Santiago wylądowaliśmy punktualnie.

Lotnisko nie przypominało tego w Madrycie. Wszędzie kłębiły się tłumy podróżnych co sprawiało wrażenie totalnego chaosu. Odebraliśmy bagaż i udaliśmy się na poszukiwanie terminalu lotów krajowych. Po drodze czekała nas rozmowa z oficerem imigracyjnym. Przy przekraczaniu granicy Chile obcokrajowcy wydawana jest specjalna karta (Tarjeta de turismo) zawierająca między innymi informacje o dacie wjazdu i nazwę granicznego punktu kontroli. Dokument ten należy następnie okazać przy wyjeździe. Oficer zapytał w jaki rejon kraju się udajemy. Gdy usłyszał, że na Atakamę z zamiarem wejścia na Ojos del Salado nie miał już więcej pytań tylko życzył nam powodzenia. Ale to nie było wszystko.

Już na pokładzie samolotu rozdano nam deklaracje celne, w które mieliśmy wpisać posiadane produkty żywnościowe. W Chile obowiązują bardzo rygorystyczne przepisy fitosanitarne i co za tym idzie istnieje bezwzględny obowiązek zgłaszania wwozu wszelkich artykułów spożywczych, w tym owoców, warzyw, mięsa, serów, miodów itp. My zabraliśmy z kraju tylko batony energetyczne. Obawiając się kary w wysokości 400 dolarów bez możliwości odwołania się w przypadku stwierdzenia spożywczej kontrabandy na wszelki wypadek wpisaliśmy je w te deklaracje.

Skierowano nas w sektor kontroli, gdzie należało przejść wzdłuż szpaleru ustawionych na długości kilkudziesięciu metrów barierek. Stali tam celnicy z psami, które obwąchiwały bagaże. Następnie należało poddać je prześwietleniu na odpowiednim stanowisku. Dyżurujący tu celnik odebrał od nas deklaracje i zapytał gdzie się wybieramy. Gdy usłyszał, że na Atakamę odsunął taśmę i przepuścił nas bez kontroli i podobnie jak oficer migracyjny życzył nam powodzenia. Zrobiło się naprawdę miło.

Lot do Copiapo trwał około półtorej godziny. Małe lotnisko, na którym wylądowaliśmy, położone było na pustyni w odległości 50 km od miasta. W terminalu przylotów czekała już na nas chilijska ekipa. Ze względu na ułatwienia w organizacji i szybszą logistykę, a przede wszystkim większe bezpieczeństwo staraliśmy się z Danielem podczas dalekich górskich wypraw korzystać z lokalnych agencji. Dając w ten sposób zarobić miejscowym robimy przy okazji także coś dobrego dla lokalnych społeczności. Po oficjalnym przywitaniu i prezentacji na podstawiony samochód załadowaliśmy nasze główne bagaże. Po Atakamie będziemy podróżować Toyotami 4x4. Dzięki temu nie będziemy nic nosić na plecach poza niezbędnym wyposażeniem w czasie wyjść szczytowych. Do miejsc biwakowych i bazy pod Ojos del Salado dotrzemy bezpośrednio także tymi samochodami.

Wygodnym busem przejechaliśmy do hotelu położonego na obrzeżach Copiapo. Samo miasto zrobiło na mnie pozytywne wrażenie. Przejeżdżaliśmy przez zielone i w miarę schludnie utrzymane dzielnice. Copiapo to górnicza miejscowość licząca ok. 130 tys. mieszkańców. Nazwa oznacza puchar pełen złota. Do dziś funkcjonują w okolicy kopalnie kruszców i surowców stanowiąc znaczący element ekonomii całego regionu.

Dostaliśmy z Danielem wygodny dwuosobowy pokój. Od dwóch dni się nie myliśmy, zatem pierwsze co zrobiliśmy to wskoczyliśmy pod prysznic. Następnie przepakowaliśmy swoje rzeczy. Jak zwykle, przed tak wieloetapową podróżą z obawy przed zaginięciem bagażu, na którymś z lotnisk, założyliśmy na siebie cenne w górach puchowe kurtki, ciepłe spodnie itd. a na stopy ciężkie, dwuwarstwowe buty. Teraz należało się przebrać w lżejsze rzeczy.

Rano wstaliśmy bardzo wcześnie i udaliśmy się na spacer po mieście. Nasz hotel znajdował się w starej dzielnicy o niskiej zabudowie z licznymi ogrodami, w których kwitły różnobarwne oleandry, a także wiele innych egzotycznych roślin wydzielających wspaniałe, słodkie zapachy. Na półkuli południowej był właśnie środek lata.

Fot. Janusz Pilszak - PTT Kozy



Jesteśmy w Chile. Lotnisko w Copiapo

Przechodząc koło Muzeum Mineralogicznego natrafiliśmy na polskie ślady. Jednym z pierwszych naukowców, którzy zbadał Atakamę był Ignacy Domeyko, co upamiętniono właśnie w tym muzeum. Pokrótce doszliśmy do sporego parku, który porastały ogromne palmy, odnaleźliśmy kantor i wymieniliśmy trochę pieniędzy na najpilniejsze potrzeby, po czym wróciliśmy do hotelu na śniadanie.

W południe pod hotelem pojawili się Chilijczycy. Załadowaliśmy bagaże na jedną z terenówek i ruszyliśmy w kierunku pustyni. Na moment zatrzymaliśmy się przy wielkim supermarkecie na obrzeżach Copiapo, by zrobić niezbędne zakupy. Nie odbiegał on w niczym od tych działających w Europie. Po przejechaniu kilku następnych kilometrów wjechaliśmy już na pustynię. Rozpoczęła się ona na ogromnym płaskowyżu wnoszącym się od 500 do 4000 m n.p.m. W promieniach słońca mieniła się wszelkimi możliwymi odcieniami brązu, czerwieni, żółci i szarości. Porastały ją nieliczne rośliny, głównie kępy jakiejś odmiany trawy.

Początkowo jechaliśmy asfaltową drogą. Po mniej więcej godzinie jazdy zatrzymaliśmy się nad aktualnie wyschniętym korytem rzeki, by zebrać naniesione przez wodę konary krzewów, które miały później posłużyć jako opał do gotowania posiłków. Następnie, po kolejnych kilku godzinach jazdy już wyłącznie po szutrowej nawierzchni, zatrzymaliśmy się na pierwszy biwak na wys. 2800 m. Znajdowało się tam niewielkie źródło słodkiej wody. Wąską dolinę porastała skąpa roślinność, ale na tyle bogata, by jeden rolnik u wejścia do niej założył małe gospodarstwo i hodował konie oraz owce i kozy. Byliśmy jakieś 200 km od Copiapo i to było jedyne domostwo na jakie natrafiliśmy po drodze.

Od razu udaliśmy się na aklimatyzacyjny trekking wzdłuż doliny aż do wysokości 3500 m. Po powrocie na biwak okazało się, że Chilijczycy rozbili już nasz namiot i przygotowali smaczną kolację suto zakrapianą winem. W miłej atmosferze siedzieliśmy do późnej nocy. Na tym odludziu nie było żadnego sztucznego światła. Niebo rozświetliły tysiące gwiazd. Od razu dało się zauważyć oba Obłoki Magellana, a tuż nad horyzontem Krzyż Południa. Choć w nocy temperatura spadła poniżej zera to i tak nie spaliśmy w śpiworach. Były za ciepłe.

Wstałem bardzo wcześnie i poszedłem wzdłuż doliny na niemal półtoragodzinny spacer. Kręta ścieżka pięła się stromo w górę i po chwili namioty zniknęły mi z oczu. Wokół panowała niczym niezmącona przejmująca cisza. Gdy wróciłem na biwak wszyscy nadal spali. Położyłem się w namiocie i czekałem aż promienie słońca go ogrzeją. Z drzemki wyrwało mnie głośne chrapanie. Gdy otworzyłem oczy zobaczyłem niezwykle widok. W przedśrobie naszego namiotu wstawił kudłaty łeb ciekawski kary koń.



Fot. Janusz Pliszak - PTT Kozy

Po Atakamie podróżujemy samochodem terenowym

Po śniadaniu zwinęliśmy biwak i ruszyliśmy w dalszą drogę nad Laguna Santa Rosa (3700 m). Jechaliśmy po szutrowej ledwo widocznej drodze, która na mapie oznaczona była jako Ruta C-247, moźolnie pnąc się do góry. Jej nawierzchnia przypominała falistą blachę. Po czterech godzinach wjechaliśmy na położoną na wysokości 4000 m przełęcz, gdzie zrobiliśmy postój, by na chwilę rozprostować nogi. Widok z przełęczy był wspaniały. W dole lśniła lazurowa woda jeziora, a za nią horyzont zamykała góra Tres Cruces (Trzech Krzyży).

Po dotarciu na miejsce zakwaterowano nas w jedynym znajdującym się tu drewnianym budynku, a raczej baraku, który należał do strażników Parque Nacional Nevado de Tres Cruces. Dyżur pełniły tu dwie młode dwudziestokilkuletnie niezwykle urodziwe dziewczyny o europejsko-indiańskich rysach i wspaniałych kruczoczarnych włosach sięgających im do pasa. Mieliśmy tu spędzić dwie noce śpiąc na materacach na podłodze. W baraku była toaleta i obowiązywał swoisty system wykorzystania wody. Czystą używało się do mycia nad beczką. Tak naprawdę myło się tylko twarz. Wodę z tej beczki następnie czerpało się do wiaderka i używało do spłukiwania w toalecie, do której nie wolno było niczego wrzucać. Wieczorem wybrałem się z Danielem na spacer nad brzeg jeziora. O tej porze pojawiło się tu kilkanaście różowych flamingów, by żerować na przybrzeżnych mieliznach. W promieniach zachodzącego słońca prezentowały się pięknie.

Rankiem, po śniadaniu, ruszyliśmy na pobliski szczyt Siente Hermanos Maricunga (4890 m). Do pokonania mieliśmy 1190 m w pionie na długości 8 km i tyleż samo w dół. Prowadzący Chilijczyk narzucił na podejściu tempo 1,8 km na godzinę co dla nas, słabo jeszcze zaaklima-

tyzowanych było idealnym tempem. Po około czterech godzinach stanęliśmy na szczycie. Zejście zajęło nam 2,5 godz. Problemem była nie tylko zbyt słaba aklimatyzacja, ale i brak odrobiny cienia. Cały czas byliśmy wystawieni na działanie palącego słońca. Dodatkowo na tej pustyni, około południa, zaczynał wiać bardzo silny wiatr, który utrzymywał się jeszcze jakiś czas po zapadnięciu zmroku co dodatkowo utrudniało nam życie. Wieczorem nad szczytem Tres Cruces zaczęły gromadzić się potężne chmury, z których musiał na chwilę padać deszcz, bowiem na niebie pojawiła się ogromna tęcza.

Po przespaniu kolejnej nocy na Laguna Santa Rosa zwinęliśmy biwak i ruszyliśmy przez pustynię taką samą szutrową drogą jak poprzednio do Laguna Verde (4350 m). Na mapie zmieniała się tylko nazwa tej drogi. Teraz nazywała się Ruta Internacional CH-31. Podróż nie obyla się bez problemów. Na środku ogromnego kamiennego płaskowyżu i całkowicie bezludnej okolicy od jednej z naszych Toyot odpadło tylne lewe koło i o mały włos nie doszło do wypadku.

Problem był poważny, bowiem Chilijczycy nie posiadali zapasowych nakrętek i musieliśmy szukać wśród żwiru tych, które odpadły. Ostatecznie udało się znaleźć trzy. Pozostałe zostały odkręcone z innej terenówki. Pięć kilometrów dalej było miejsce o powierzchni dosłownie kilku metrów kwadratowych gdzie był zasięg telefonii komórkowej. Udało się nam zatem zadzwonić do domu.

Po około trzech godzinach jazdy po tej ledwo widocznej szutrowej, ale „międzynarodowej” drodze wjechaliśmy na asfaltową nawierzchnię, którą położono aż do przejścia granicznego z Argentyną na przełęczy San Francisco (4747 m). Jechaliśmy jeszcze około dwóch godzin. Po drodze nie



W ramach aklimatyzacji weszliśmy m.in. na szczyt San Francisco (6016 m n.p.m.)

minął nas ani jeden samochód, nie przejeżdżaliśmy też przez żadne ludzkie, choćby najmniejsze, osiedle.

Późnym popołudniem dotarliśmy na Lagunę Verde. Znajdowało się tu przepiękne słone jezioro o lazurowej wodzie. Tuż nad jego brzegiem rozbiliśmy namioty i założyliśmy bazę główną do dalszej działalności. W tym miejscu było także coś, co sprawiło nam wiele radości, a mianowicie niecki z gorącą słodką wodą, która wypływała spod skał. Co prawda, trochę śmierdziała siarką, ale kto by na pustyni, na której podobno od pięciuset lat nie zanotowano większych opadów zwracał na to uwagę. Po trzech dniach mogliśmy się wreszcie wymoczyć w gorącej wodzie. Istne szaleństwo.

Rano ruszyliśmy na pobliski szczyt Cerro Mulas Muertas (5624 m). Planowaliśmy wejść tylko na pierwszy wierzchołek. Grań szczytowa ciągnie się tu przez wiele kilometrów, a sam szczyt ma kilka przedwierzchołków. Gdy byliśmy tuż pod niższym z nich pogoda dotąd doskonała, nie biorąc pod uwagę wiejącego po południu huraganowego wiatru, do którego zdążyliśmy się już przyzwyczaić, zaczęła się psuć. Nadciągnęły potężne chmury i zaczęło grzmieć. Deszcz ani śnieg oczywiście nie spadł, ale zrobiło się nieprzyjemnie zimno.

Kolejny dzień przeznaczaliśmy na odpoczynek. Do południa wybraliśmy się na spacer wokół jeziora, a po południu moczyliśmy się w gorącym źródle. W nocy potężnie wiało. Pod naporem wiatru nasz namiot trzepotał i trząsł się niemiłosiernie. Rankiem, niezbyt wyspani, ruszyliśmy w głąb Atakamy do bazy pod Ojos del Salado (5350 m). Szef Chilijczyków zarządził, że nie będziemy zakładać kolejnego biwaku w tym miejscu tylko w ramach aklimatyzacji podejźmy do bazy wysuniętej tzw. schronu Tejos (5850 m) i wró-

cimy na lagunę, gdzie mamy o wiele lepsze warunki bytowe. I miał rację. Po dotarciu na miejsce okazało się, że cała baza to stary, lekko zdezolowany metalowy kontener pomalowany na żółto, duży zielony namiot i latryna, obok których rozbitych było kilka dwuosobowych namiotów. Samo miejsce było urokliwe, ale niezwykle surowe.

Od bazy do schronu Tejos (5850 m) prowadziła wyraźna droga i każdy szedł samodzielnie w swoim tempie. Sam schron niewiele różnił się od położonej niżej bazy. Były to dwa pomalowane na czerwony kolor złaczone ze sobą metalowe kontenery w jakich przewozi się towary. W jednym była messa, a w drugim, kilka piętro- wych łóżek do spania. Obok kontenerów można było rozbić namioty. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy do góry w kierunku szczytu z zamiarem podejścia jeszcze jakiś 100 m w pionie dla lepszej aklimatyzacji i zapoznania się z czekającą nas niebawem trasą. Pogoda była dobra, świeciło słońce i trzymał lekki mróz. Około godz. 16 wróciliśmy na Lagunę.

Po dniu odpoczynku, w zupełnych ciemnościach wczesnym rankiem ruszyliśmy naszymi Toyotami pod szczyt San Francisco (6016 m). Po pół godzinnej jeździe osiągnęliśmy przełęcz o tej samej nazwie, na której znajdowało się wspomniane już przeze mnie wcześniej przejście graniczne z Argentyną. Nie było na nim nikogo. Stąd nasze terenówki skręciły w prawo i podjechaliśmy jeszcze jakieś 150 m w pionie. Zatem do szczytu pozostało nam mniej więcej 1000 m przewyższenia.

Przeszliśmy przez niewielkie wzniesienie na przełęczkę a następnie długim i bardzo stromym trawersem ostro podchodziliśmy do góry. Pod jego koniec doszliśmy do bystrego strumienia spływającego z lodowca. Powyżej znajdowała się

rozległa kaldera, czyli wielkie zagłębienie w szczytowej części wulkanu, powstałe na skutek albo gwałtownej eksplozji, która zniszczyła górną część stożka wulkanicznego albo wskutek zapadnięcia się stropu komory pomagmowej wraz ze stożkiem wulkanicznym. By dostać się na szczyt należało ją obejść z prawej strony.

Posuwaliśmy się szybko do góry i niebawem osiągnęliśmy wierzchołek, który niespodziewanie wyłonił się przed nami. Na szczycie znajdowała się metalowa rurka z tabliczką „San Francisco” oraz skrzynka z zeszytem do odnotowywania wejść. Musiała ona być uszkodzona, bowiem zeszyt pokryty był lodem i nie można go było otworzyć. Poprosiłem idącego z nami Chilijczyka, by zrobił nam pamiątkowe zdjęcie z flagą. Gdy zdjęł lodowcowe okulary zobaczyłem, że płacze. Okazało się, że to były łzy wzruszenia i radości. Po raz pierwszy w życiu był tak wysoko. Po chwili na szczycie zameldował się kilkusobowy team z Argentyny pod przewodnictwem miłej liderki. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie i ruszyliśmy w dół. Na trawersie zaczęło mocno wiać i zrobiło się naprawdę zimno.

Przed atakiem na Ojos del Salado zrobiliśmy sobie dwa dni odpoczynku. Pierwszego dnia ruszyliśmy na trekking po Atakamie. Częściowo jadąc, częściowo idąc okrążyliśmy po klifach między innymi całą Lagunę Verde. W sumie pokonaliśmy jakieś 40 km. W jednym z zagłębień natrafiliśmy na trochę zieleni. Było tam zapewne jakieś źródło wody. Na tym skrawku ziemi pasły się trzy dorosłe guanako z młodymi.

30 stycznia wstaliśmy o godz. 22. Jednak zanim Chilijczycy pozbierali się, upłynęło trochę czasu. Około godz. 4 w zupełnych ciemnościach, ale przy rozgwieżdżonym niebie rozpoczęliśmy atak szczytowy od schronu Tejos. Było bardzo zimno. Smartwatch pokazywał -17°C i nieźle wiało. Po pokonaniu 400 m w pionie zmuszeni byliśmy się zatrzymać. Daniel miał od wczoraj problemy żołądkowe. Gdy się rozwidniło byliśmy mniej więcej w połowie stoku, który powyżej pokryty był świeżym śniegiem. Musieliśmy założyć raki i przecierać szlak brnąc po kolana w zaspach.

Około godz. 12 doszliśmy do kaldery. W tym miejscu spotkaliśmy kilku wspinaczy. Nie mieli już siły iść dalej. Narzekali także na przejmujące zimno. Wymieniliśmy kilka zdań starając się zachęcić ich do dalszej wspinaczki. Na nic się to zdało, bowiem oni już postanowili zakończyć atak i schodzić w dół. W ten sposób przed nami nie było już nikogo. Za nami, na stoku, jak okiem sięgnąć, także nie było widać żywej duszy.

Powyżej kaldery podejście zrobiło się strome, miejscami jakieś 45 stopni. W połowie drogi za sporej wielkości kamieniem zostawiliśmy nasze plecaki. Nie było sensu targać ich w tych warunkach na szczyt. Ostatnie 30 m w pionie to już była

wspinaczka w skale. Jeden z Chilijczyków szedł pierwszy i zakładał przeloty, w które wpinał naszą linę, bowiem te, które zwiisały ze szczytu były pocięte rakami. Wspinanie się w rakach po niemal pionowej skale nie należy do najłatwiejszych. Około godz. 13, a więc po dziewięciu godzinach podchodzenia stanęliśmy na szczycie.

Dookoła rozpościerał się jedyny w swoim rodzaju widok. Z płaskowyżu, aż po horyzont, co kawałek wyrastały potężne, ale niższe od nas góry (wulkany) z ośnieżonymi wierzchołkami. Przed nami z pustynnej szarzyzny i różnych odcieni brązu wyraźnie odcinał się lazur Laguny Verde. Ciepło pomyślałem o Justynie Wojsznisie i Janie Szczepańskim, naszych rodakach, którzy jako pierwsi na świecie w 1937 r. oglądali ten wspaniały widok. Sam szczyt niczym się nie wyróżniał. Był to kawał wąskiej, stromej skały, na której w najwyższym punkcie zamontowano metalową rurkę. Powiewała na niej miniaturowa chilijska flaga. Kilkadziesiąt metrów poniżej, już po argentyńskiej stronie, co kilka minut pojawiał się całkiem sporych rozmiarów słup pary. Bądź co bądź, byliśmy przecież na drzemiącym wulkanie.

Zrobiliśmy jak zwykle kilka pamiątkowych zdjęć ze szczytu i rozpoczęliśmy zjazd do podnóża skały. Zejście do schronu Tejos zajęło nam 3 godziny. O godz. 18 byliśmy z powrotem w bazie na Lagunie Verde. Tyle tylko, że bazy już nie było. Ci, z Chilijczyków, którzy zrezygnowali ze zdobywania szczytu wrócili wcześniej na lagunę i bazę zwinęli. Stał tylko nasz namiot.

Nie mając innego wyjścia, szybko spakowaliśmy nasze rzeczy i ruszyliśmy w drogę nad Ocean Spokojny. Chilijski kierowca zapewniał nas, że to jakieś trzy godziny jazdy. Jak to u południowców bywa niekoniecznie ich godzina równa się naszej. Tak było i tym razem. Do hotelu Mirador w miejscowości Caldera dotarliśmy o wpół do pierwszej w nocy.

Wstałem przed godziną 8. W hotelu powoli budziło się życie. Kwaterujący tu pracownicy jakiejś firmy wydobywczej, tłukąc się niemiłosiernie, załadowali na terenówki sprzęt i ruszyli do pracy. W łazience spojrzałem w lustro. Widok nie był zbyt pocieszający. Podczas wczorajszego ataku szczytowego zużyłem ogromne ilości kremu z bardzo mocnym filtrem UV, co na niewiele jednak się zdało, bowiem słońce i tak spaliło mi całą twarz.

Wyprałem w umywalce długie spodnie i ciepły polar, by zdążyły do jutra wyschnąć i bym miał w czym wracać do kraju, w którym właśnie był środek zimy. Ubrałem się w lekkie ciuchy i ruszyłem w miasto. Pomimo wczesnej pory było jakieś +28°C. Szybko znalazłem się na nowych, bardzo ładnie i pomysłowo urządzonych bulwarach. Były tu siłownie i place zabaw dla dzieci oraz liczne miejsca do wypoczynku dla przybywających do tej miejscowości turystów. O tej porze miasteczko

jeszcze spało w najlepsze i wokół nie było widać żywej duszy. Doszedłem do niewielkiego centrum. Bardzo chciałem napić się kawy, ale wszystko było jeszcze zamknięte.

Po chwili znalazłem dworzec autobusowy. W Chile, podobnie jak to ma miejsce w Argentynie, bardzo dobrze rozwinięta była sieć autobusów dalekobieżnych. Tak jak się spodziewałem w tym miejscu był otwarty niewielki bufet, w którym dostałem kubek dobrej kawy. Następnie spacerowałem wąskimi uliczkami, wśród ogrodów i parterowej zabudowy szukając jakiś sklepów z pamiątkami. Od lat staram się kupować na prezenty wyroby wykonane przez miejscowych twórców. Ale niczego konkretnego nie udało się mi znaleźć poza plastikową tandetą.

W południe ponownie ruszyłem, już w towarzystwie Daniela, w miasto z zamiarem dotarcia do portu, gdzie miał funkcjonować niewielki bazarek. Ale tam nie dotarliśmy, bowiem na późne śniadanie zatrzymaliśmy się w niewielkim lokalu, tuż obok hotelu, o dziwnej nazwie Caffè Mirador Caldera. Urządzono go z zebranych w okolicy rupieci nadając im drugie życie. Z używanych palet zrobiono ogrodzenie i siedzenia, z przenośnej kuchenki węglowej stolik, z fragmentu metalowego łóżka sofę itd. Najciekawsza była obsługa tego niezwykłego miejsca. Lokal prowadziło i zarazem w nim mieszkało młode małżeństwo z sześciolletnią córką. Ich strój i sposób bycia przypominał „ludzi kwiaty” z lat 60. XX wieku. W całym lokalu i jego otoczeniu unosił się zapach dymu ze spalanych roślin. Z tarasu rozpościerał się wspaniały widok na zatokę i port, w którym cumowały kolorowe łodzie rybackie.

Sympatyczna i bardzo dobrze mówiąca po angielsku właścicielka lokalu uwinęła się szybko z zamówieniem i na chwilę przysiadła się do nas. Później zrobiliśmy sobie pamiątkową fotkę. Niewątpliwie

w tym małym miasteczku na końcu świata byliśmy egzotycznymi przybyszami. Od niej dowiedzieliśmy się, że 6 km od tego miejsca znajduje się maleńka miejscowość Bahía Iglesa położona tuż nad oceanem, w której to mają swoje stragany ze sztuką ludową miejscowi twórcy. Wsiadliśmy zatem do taxi i za 4 tys. peso dojechaliśmy około godz. 13 na miejsce. Rzeczywiście wzdłuż promenady El Morro oddzielającej plażę od zabudowy ustawione było kilkadziesiąt straganów z biżuterią i innymi pamiątkami, a w okolicy działało kilka, nawet całkiem porządných, butików.

Punktualnie o godz. 19 zajęliśmy piętrową restaurację El Plateau Cocina Regional. Sącąc wino czekaliśmy na Chilijczyków, których zaprosiliśmy na zwyczajową pożegnalną kolację. Wcześniej ustaliliśmy, że rzucimy się po 100 dolarów na napiwki dla nich. Chłopacy nie kryli zaskoczenia, ale bardzo się ucieszyli. W drodze powrotnej ustaliliśmy, że o godz. 6 rano przysłać po nas samochód, by nas zawiózł na lotnisko. Na godz. 9:15 zaplanowano nasz lot do Santiago. Chilijczycy upierali się, że to trochę za wcześnie, bowiem, ich zdaniem, do lotniska z hotelu jedzie się co najwyżej 20 minut. Uparłem się i w końcu stanęło na moim.

Rankiem, kilka minut po godz. 6, podjechała pod hotel taksówka. Kierowca, około pięćdziesięcioletni sympatyczny brodac, mówiący tylko po hiszpańsku, pomógł załadować nasze bagaże do bagażnika. Po przejechaniu kilku kilometrów zaczęły się problemy. Na tablicy rozdzielczej pojawił się komunikat o braku smarowania silnika i komputer odciął paliwo. I tak ze siedem razy. W końcu o godz. 7:20 stanęliśmy pod terminalem lotniska i dopiero wtedy odetchnęliśmy z ulgą. Taksówka już nie ruszyła. Pomogliśmy kierowcy zepchnąć ją na pobliski parking.



Ostatnie metry przed Ojos del Salado to wspinaczka w skale

Fot. Janusz Pilszak – PTT Kozy

Na stanowisku odpraw sympatyczna przedstawicielka linii Latam Airlines spojrzała na nas lekko zaniepokojona. Zarośnięci, niewyspani, ze spalonymi przez słońce twarzami, w pomiętych i niezbyt czystych ciuchach wyglądaliśmy dość osobliwie. Po sprawdzeniu paszportów wydrukowała nam karty pokładowe. Na koniec jednak pięknie się do nas uśmiechnęła i życzyła nam udanej podróży. Kochani byli ci Chilijczycy.

Lot do Santiago trwał niecałe dwie godziny. Po wylądowaniu od razu udaliśmy się na śniadanie. Kupiliśmy duże hamburgery za 12 dolarów każdy. Po odnalezieniu stosownej bramki, z której mieliśmy ruszyć w podróż do Madrytu, ja zostałem z bagażami a Daniel udał się na zakupy z zamiarem wydania reszty peso, jakie jeszcze mieliśmy. Z drzemki wyrwał mnie lotniskowy megafon, przez który wywołano nasze nazwiska i proszono byśmy jak najszybciej udali się na stanowisko odpraw. Tam okazało się, że polecimy samolotem innych linii.

Z przebiegu lotu niewiele pamiętam bowiem udało mi się pomiędzy serwowanymi przez pokładową obsługę posiłkami trochę przespać. Wylądowaliśmy na madryckim lotnisku po trzynastu godzinach nieprzerwanego lotu o wpół do siódmej rano. Tu musieliśmy odebrać bagaż główny i po zmianie terminalu ponownie go nadać. Nie było to jednak takie proste. By dostać się do taśmy bagażowej musieliśmy sporo się nachodzić i dodatkowo przejechać pociągami. Następnie z tym bagażem pokonać autobusem kilka kilometrów i odnaleźć biuro linii PLL LOT, naszego następnego przewoźnika. W lotnis-

kowej informacji dowiedzieliśmy się, że to biuro będzie czynne na około dwie godziny przed wylotem, który zaplanowano na godz. 15:30. Zatem z ewentualnej wycieczki do centrum Madrytu nic nie wyszło. Zwiedzanie miasta z bagażami nie miało sensu.

Początkowo usiedliśmy w małej kawiarence przy kawie i francuskim ciastku. Później przenieśliśmy się na ławkę obok miejsca gdzie miało się pojawić biuro przewoźnika. Po chwili dołączyło do nas ze trzydziestu Włochów udających się do pracy w Polsce. Jeden z nich został z bagażami, a reszta poszła na piwo. Nie mając nic innego do roboty mogłem podziwiać kreatywność miejscowych żebraków. Dla zmylenia lotniskowych służb każdy z nich pchał przed sobą wózek bagażowy, na którym umieszczone miał co najmniej dwie duże walizki. Idąc wolno wzdłuż ruchliwych przejść obserwowali przechodzących i z tłumu wyławiali głównie pary w starszym wieku. Przepraszali i podawali im kartkę przypominającą wielkością kartę pokładową z prośbą o pieniądze. Obserwujący monitor pracownik ochrony mógł odnieść wrażenie, że pytają o drogę.

Wreszcie około godz. 13:30 pojawili się pracownicy naszego narodowego przewoźnika nie mówiący ani słowa po polsku i mogliśmy nadać bagaż oraz pobrać karty pokładowe. Po przejściu kontroli bezpieczeństwa udaliśmy się do jednej z restauracji, by coś zjeść. Zamówiliśmy sobie pieczony na grillu antrykot wołowy z ziemniakami. Obsługujący go kucharz biegał po swoim królestwie jak szalony coś tam do siebie po hiszpańsku mamrocząc. Naszą uwagę zwróciło coś jeszcze.

Spora część podróżnych, jak i personelu lotniska, nosiła na twarzach maski. Dopiero po powrocie do kraju dowiedzieliśmy się o epidemii koronawirusa.

Na kilkanaście minut przed wylotem na tablicy odlotów ukazał się komunikat, że nasz lot został przełożony na godz. 19:55. Po kilku minutach zmieniono tę godzinę na 17:50. Później jeszcze raz na godz. 18:35. W końcu wystartowaliśmy. Samolot, którym lecieliśmy nie należał do PLL Lot. Obsługa mówiąca wyłącznie po angielsku starała się jak mogła, by wynagrodzić pasażerom opóźnienie. Jedno co mnie zaskoczyło to sprzedawanie kanapek na pokładzie zamiast darmowego posiłku. Dla wielu naszych rodaków cała ta sytuacja była okazją do dobrej zabawy. Ale nie dla mnie. Z Warszawy do Bielska-Białej ostatni pociąg odjeżdżał o godz. 22.

Na Okęciu wylądowaliśmy tuż przed tą godziną, i do tego, z dala od terminalu i musieliśmy w samolocie czekać aż podstawią autobus. Suma summarum po odebraniu bagażu i pożegnaniu się z Danielem na Dworzec Centralny dotarłem równo o godz. 23. Miałem jeszcze nadzieję, że może pojedzie jakiś pociąg na południe Polski, np. przez Kraków albo Wrocław. Niestety, do rana w tym kierunku, nie odjeżdżał żaden.

Łączony pociąg do Pragi i Zakopanego przez Bielsko-Białą przyjechał punktualnie o godz. 5:10. Do Katowic także przyjechaliśmy planowo. Tu rozłączono składy. Mój odjechał z dwudziestominutowym opóźnieniem i z takim opóźnieniem dotarłem do stolicy Podbeskidzia, kończąc w ten sposób tę, pod wieloma względami nietypową i niezwykłą, wyprawę. ■

Fot. Janusz Pilszak - PTT Kozy

Na szczycie Ojos del Salado (6893 m n.p.m.)



WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, KINGA BURAS, BARBARA MORAWSKA-NOWAK, AGATA PODGÓRSKA

SKŁAD: KATARZYNA WILUSZ

ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW ♦ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ♦ TEL.: 12 634-05-89

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL](http://www.ptt.org.pl)